Nr. 5. i 6. We Lwowie dnia 28. Marca 1872 Rok VII



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
Adres Lwów Nr. 35¼.

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

Dawne roczniki od I. do VII. razem 13 złr., i każdy pojedyńczo dla szkółek ¼ mniej, tudzież wszystkie książki dla dzieci w polskim i francuskim języku dostanie w adm.. Opiekuna."

Wielkanoc.

W tym tygodniu obchodzimy z wielką uroczystością **Święta Wielkanocne**, postanowione na pamiątkę męki Jezusa Chrystusa i Jego zmartwychwstania. Święta te zowią także Pascha, które to słowo w języku hebrejskim znaczy tyle co *przejście*. Obchodzili je Żydzi na pamiątkę przejścia po Egipcie Anioła śmierci, który pozabijał wszystkie dzieci pierworodne Egipcjan, jak również na pamiątkę przejścia Żydów przez morze Czerwone.

Według przykazu Mojżesza, na dzień ten każda rodzina obowiązaną była zabić baranka, i upieczonego spożyć z chlebem niekwaszonym, suszonym. Dla tego zaś chleb suszony czyli maca był zalecony, aby resztki można wziąść w podróż, która po tej uczcie zaraz nastąpić miała. Chleb ten zwali Hebrejczycy później chlebem utrapienia, jako przypominający im ucisk w Egipcie. Przy spożywaniu paschy trzymano kij w ręku, podpasywano suknie, i obuwie wkładano na nogi, co obyczajem tamecznym oznaczać miało gotowość do podróży. Nadto rozkazał Mojżesz, aby kości barankowi nie łamano, i aby krwią jego naznaczono drzwi, co miało zabezpieczyć synów Izraelskich od śmierci, jaką roznosił Anioł niszczyciel po domach Egipcjan. Z tego też powodu baranek paschalny uważanym jest za figurę Jezusa Chrystusa. Jako bowiem krew baranka miała zabezpieczyć dzieci Hebrejczyków od ciosów Anioła śmierci, tak też i krew Jezusa Chystusa, na krzyżu przelana, wybawiła ród ludzki z niewoli grzechu i pojednała z Bogiem. Dla tego Chrystus Pan nazywany jest w piśmie św. *Barankiem Bożym, który gładzi grzechy świata*, i dla tego także w Ewangelji u św. Jana czytamy, że nie łamano goleni Chrystusowi, jak innym, którzy byli z nim ukrzyżowani, bo napisano o baranku paschalnym: *nie będziecie łamać kości jego.*

Uroczystość Wielkanocna poprzedzona jest postem czterdziestodniowym, na pamiątkę pobytu Chrystusa Pana przed rozpoczęciem nauczania na puszczy przez dni czterdzieści, w którym to czasie kościół przywdziewa żałobę; zasłony czarne zasłaniają ołtarze, a po domach chrześcijańskich ustają wszelkie zabawy. W ostatnią niedzielę postu, tak

zwaną „Palmową“ na pamiątkę wjazdu Chrystusa Pana w tryumfie do Jerozolimy, i kościół tryumfuje.

Przy rozdawaniu palm w kościele poczyna się szereg uroczystości całego tygodnia przed świątecznego, który „Wielkim tygodniem“ zowiemy. Ta uroczystość tryumfalna szczególnie, w Rzymie, gdzie mieszka Zastępca Chrystusa na ziemi, odbywa się bardzo wspaniale.

Około godziny jedynastej przed południem przybywa Papież i zajmuje miejsce na tronie, w pośród świetnego orszaku kardynałów, kanoników, książąt i posłów różnych monarchów. Palmy podają Ojcu św. w przepysznych koszykach, on je błogosławi, a potem rozdziela między obecnych. Potem następuje procesja po kościele, podczas której niosą w lektyce Papieża z tyarą (korona papieska) na głowie, trzymającego palmę w ręku.

Po wyjściu procesji na zewnątrz, Ojciec św. uderza krzyżem we drzwi i wymawia znane wyrazy: *Attolite portas principes vestras* (co znaczy otwórzcie bramy wasze książęta). Gdy z powrotem niosą Papieża ku ołtarzowi, z okien choru i różnych stron odzywa się muzyka, co wielkie sprawia wrażenie dla stojących w głębi kościoła. Huczne te dźwięki łączą się z poważną nutą śpiewu: *„Tu es Petrus, ecce sacerdos magnus“* (co znaczy, ty jesteś Piotr — oto kapłan wielki). — Trudno zapewne nie uledz wielkiemu, nadziemskiemu wrażeniu, jakiego każdy doznać musi w tej uroczystej chwili.

Po procesji z palmami, Ojciec św. słucha mszy św. na swoim tronie.

Podobne obrzędy odprawiają się w każdym kościele katedralnym, i w każdej parafji, wszyscy się cieszą i radują w tym dniu z tryumfu Zbawiciela, by przez cały następny tydzień boleć i łzy wylewać nad jego męczeństwem.

We czwartek wielkiego tygodnia umilkają zupełnie dzwony i dzwonki kościelne, na znak wielkiego smutku i boleści, że Chrystus skonał na krzyżu.

W wielki piątek i sobotę tłumy wiernych spieszą do grobu Chrystusa, jak to czynili uczniowie jego i świątobliwe niewiasty, aby złożyć przy nim modlitwę skruszonego serca.

W wielką sobotę około godziny szóstej z wieczora, lub o świcie w niedzielę odbywa się uroczystość resurekcji czyli zmartwychwstanie.

Po odśpiewaniu śpiewu zaczynającego się od słów: *„Niech się radują chóry anielskie, niech tajemnice Boskie będą wysławiane“*, kapłan uwielbia Zbawiciela w modlitwie i błaga go za wiernymi. Po wyniesieniu z grobu Najświętszego Sakramentu, odprawia się procesja ze śpiewem, podczas której niosą figurę Chrystusa z chorągiewką w ręku, oznaczającą zwycięstwo Zbawiciela nad śmiercią i grzechem; procesja zaś wyraża wielką radość wiernych.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa cały tydzień po wielkiej niedzieli święcono. Później ograniczono święta na dni trzy, a wreszcie papież Pius VI. postanowił tylko dwa dni, niedzielę i poniedziałek.

(Ponieważ ukrzyżowanie Chrystusa nastąpiło właśnie podczas święta paschy żydowskiej, przeto w początkach chrześcijaństwa równocześnie obchodzono te święta. Kościół chcąc temu łączeniu się świąt zapobiedz, postanowił na soborze w Nicei, aby Wielkanoc w przyszłości obchodzoną była w pierwszą niedzielę po pełni księżyca, jaka przypadnie po przesileniu wiosennem w dniu 20. marca. Sposób ten obliczania nazwano Aleksandryjskim, dla tego, iż sławni wówczas astronomowie miasta Aleksandrji rokrocznie obliczać go mieli. Wprowadzono ten sposób naznaczenia świąt w roku 525.)

Przodkowie nasi pobożni i gościnni, pragnąc tak wielkie święta obchodzić z jak największą uroczystością, przygotowywali na nie różne zapasy jadła, aby nie tylko dla domowych wystarczyło, ale jeszcze zostało dla gościa i biednego. Ztąd powstał zwyczaj zastawiania święconego, zachowywany aż dotąd w Ojczyźnie naszej. Najważniejsze miejsce w tej zastawie stanowią liczne wędliny, a dalej rozmaite ciasta, jak: baby, mazurki, przekładańce i różne inne placki. Pośród stołu zastawionego i w kwiaty przybranego ustawia się zwykle białego baranka z cukru lub z masła zrobionego, któremu zatykają czerwone chorągiewki i zielone gałązki, na znak ogólnego wesela i radości. W wielką niedzielę rano po nabożeństwie, przystępują wszyscy domowi do sutego stołu, który kapłan pierw uroczyście poświęcił, a ojciec i matka rodziny obnoszą talerz z jajkiem święconem i dzielą się niem ze wszystkiemi. Obopólne powinszowania i błogosławieństwa, przy podzieleniu się jajkiem święconem, wylewają się z przepełnionego radością i miłością wzajemną serca polskiego, a nie jedna kropla łzy, czystej jak perła, bo miłośnej i wdzięcznej spłynie po licach, na znak, iż wszyscy weseli, iż nikt nikomu z obecnych przy wspólnym stole, ani złe nie życzy i wszelkie już podarował urazy. Jest to najwymowniejszy znak, iż my Polacy najgłębiej pojęli naukę Zbawiciela, która miłość bliźniego szczególnie zaleca, bo nigdzie w żadnym narodzie tak uroczyście nie obchodzą tego wielkiego święta, jak w naszej Ojczyźnie.

A i ja do wielu waszych przyjaciół, jakich przy rodzinnem zastaniecie święconem, pragnę

chociaż w myśli należeć, i mam nadzieję, iż mnie nie odsuniecie od waszej radośnej biesiady, tak jak was nigdy z mej myśli i serca nie wypuszczam.

Toż uczestnicząc sercem i myślą z wami, drodzy moi czytelnicy, przy spożyciu tegorocznego jajka wielkanocnego, życzę wam po dawnemu wszystkiego tego, co tylko dla dobra waszego i korzyści stać się może, a przedewszystkiem doczekania się lepszej dla nas wszystkich przyszłości, która jak to już tylokrotnie wam powtarzałem, i powtarzać nie przestanę, od was, od waszej pilności, zacności i postępu w naukach w zupełności zależy. Wy — dziatwo polska, budujecie obecnie pracą waszą przyszłą świetność Ojczyźnie naszej, na was zwrócone oczy wszystkich, pragnących wspólnego dobra, a więc pracujcie usilnie, bądźcie jak owe pszczółki maleńkie, które ciągle przez całe lato znoszą po odrobinie miodu do wspólnego ula, aż go nanoszą tyle, że i same przez zimę się wyżywią i chojnie nim obdarzą człowieka.

W końcu mam nadzieję, iż nie odmówicie prośbie mojej, a jakiej ona jest treści, przeczytajcie z uwagą na ostatniej stronicy.

ALLELUJA!

I wszystko się wypełniło!..
Bóg na krzyżu zwisł w tej dobie,
Słońce w chmury twarz zakryło,
Drzy natura, bo Pan w grobie!

Stoi smutnych niewiast grono,
Łez im źródło z ócz wytrysło,
Bo już martwe jest to łono,
Z kąd ich duszom światło błysło.
I szły biedne z maścią wonną,
By ją złożyć w krwawych szatach;
Lecz podobno chęć ich płonną,
— Kamień ciężki — straż na czatach.
Z trwogą w duszy biegną żywo,
I już widać grób z daleka,
Pierś się wzniosła — lecz — o dziwo!...
Nagłym blaskiem drzy powieka.
Bo gdzie żołnierz stał uspiony,
Biała postać we mgle buja,
Kamień jak proch precz zmieciony,
W górze dźwięczy: Alleluja!...

Alleluja!... zmartwychpowstał!...
W grobie światłość przecudowna,
I bieluchny rąbek został,
I lilii woń czarowna...
Alleluja! Anioł śpiewa,
Niebo echem odpowiada,
Każdy listek niem powiewa
W serce niewiast rozkosz wpada.
Alleluja! wykrzyknęły,
I wnet oschły z łez powieki;
Dłonią serca przycisnęły,
Od serc smutek już daleki.
Bo płakały łzą miłości,
A więc miłość je zbawiła;
Serca pełne niewinności
W ciężkim smutku utuliła.

I wyjęły rąbek biały,
Na nim śladu krwi nie było,
Bo kropelki krwi błyszczały,
Jakby z niebios gwiazdek siłą...
O i błogo tym się stało,
Alleluja! kto posłyszał,
Szczęście nieba w nim się zlało,
Ból i smutek się uciszał.

K.

Czwarte przykazanie kościelne.

Jak tablica dziesięciu przykazań Bożych, tak też i pięć przykazań kościelnych, powinny być dla każdego człowieka najświętszem prawem, którego wykonanie niechaj będzie staraniem całego jego życia.

Kto nie wypełnia tych praw Bożych i kościelnych, niechaj pamięta, iż przez cały ciąg życia i Bóg mu błogosławić nie będzie i ludzie nie uszanują, a po śmierci, jak to Chrystus Pan, nasz Zbawiciel powiedział, nie znajdzie miłosierdzia przed sądem sprawiedliwego Boga. Toż pamiętajcie od najmłodszych lat waszych zawsze mieć w pamięci przykazania Boże i kościelne, bo podług nich żyjąc i takowe wypełniając, znajdziecie już tu na ziemi szczęście i miłość u ludzi, a po śmierci otrzymacie wieczystą w niebie nadgrodę.

Kto zaś przez zapomnienie lub z namowy, albo za przykładem innych złych ludzi, przekroczył przykazania Boże lub kościelne, to znaczy kto zgrzeszył, ten niech zawczasu stara się poprawić, i błaga Boga o łaskę i przebaczenie. Jeżeli szczerze żałuje, to pewnie uzyska przebaczenie, gdyż Pan Bóg jest najmiłosierniejszym ojcem, i rad przygarnia żałującego grzesznika do siebie.

Kościół święty, na mocy nadanej mu przez Chrystusa Pana władzy, ma prawo darowania grzechów i kar za nie, jeżeli grzesznik przed ustanowionym do tego kapłanem szczerze swoje

przekroczenia wyzna, za takowe serdecznie żałuje i stanowczą przyrzeka poprawę. Takie wyznanie grzechów przed kapłanem nazywa się spowiedzią.

Każdy chrześcijanin jest obowiązany spowiadać się przynajmniej raz do roku, a mianowicie przed świętami Wielkanocnemi. W tym czasie, kiedy obchodzimy pamiątkę śmierci Zbawiciela, którą poniósł z miłości ku ludziom, aby ich krwią swoją od grzechu uwolnić, najstósowniej jest dla człowieka oczyścić się z grzechów swoich i za nie serdecznie żałować, by przez to okazać wdzięczność i miłość ku Zbawicielowi za jego dla ludzi ofiarę. Dla tego to kościół św. mając do tego wszelkie prawo od samego Zbawiciela, ustanowił iżby każdy, kto do poznania rozumu przychodzi, przynajmniej raz do roku przed swoim proboszczem, lub innym do tego ustanowionym kapłanem w czasie Wielkanocnym się spowiadał i za grzechy żałował.

Przepis ten stanowi **Czwarte przykazanie kościelne**, a kto tego nie wypełnia, już przez to samo grzeszy, bo nie słucha kościoła, dla którego posłuszeństwo sam Chrystus Pan nakazał, mówiąc do apostołów: „*Kto was nie słucha, ten mnie nie słucha, a kto mnie nie słucha, ten zbawion nie będzie.*“

W całym zatem świecie, gdzie tylko znajdują się wyznawcy Chrystusa Pana, odbywa się spowiedź wilkanocna, mali i dorośli, dzieci i starcy spieszą do kościoła, by tam oczyścić się z grzechów i ślubować poprawę na przyszłość. Pamiętajcie przytem, iż aby otrzymać odpuszczenie grzechów, trzeba i szczerze żałować za nie, i dokładnie każdy zły postępek lub niedbalstwo kapłanowi opowiedzieć, i przyrzec nieodzowną poprawę, a wreszcie wszystkich bez wyjątku, którzy z przyczyny grzechu waszego zostali obrażeni, przeprosić, lub jeżeli jaką szkodę ponieśli, takową wynadgrodzić.

Przy tej sposobności nadmienię, iż są niektóre tak wielkie i straszne grzechy, że rozgrzeszenia od nich nie każdy kapłan udzielić może; sam



Spowiedź w Rzymie przed wielkim Penitencjarjuszem.

Ojciec święty, jako zastępca Chrystusa Pana na ziemi, rozgrzeszenie takich wielkich występków sobie zatrzymał. Jednakże podróż do Rzymu, gdzie Ojciec św. mieszka, byłaby dla niejednego takiego grzesznika albo zupełnie niemożliwą, albo by długo musiał takową zwlekać. To też Papież ustanowił niektórych kapłanów w różnych krajach, którym dał moc w takich wypadkach rozgrzeszania spowiadających się. Tacy kapłani, lub biskupi nazywają się Penitencjarjuszami.

W mieście Rzymie moc zastępywania Ojca świętego w takich wypadkach ma kardynał, mający tytuł Wielkiego Penitencjarjusza.

Tę ważną czynność odbywa on raz tylko do roku, w ciągu trzech dni wielkiego tygodnia, a mianowicie: we wtorek, czwartek i piątek, i co dzień w innym kościele: Laterańskim, Panny Marji i świętego Piotra.

Powyższa rycina przedstawia wnętrze kościoła Panny Marji w Rzymie. Z obu stron na wzniesieniu zasiedli na ławkach kardynałowie i biskupi, by być obecnymi przy tym ważnym obrzędzie, i dodać mu większej powagi. Na przeciwko z lewej strony stają grzesznicy, przybywający często z najodleglejszych stron całego świata, by ulżyć wyrzutom sumienia, i pełni skruchy czekają na kolej. Jeden z nich, jak widzicie na obrazku, właśnie klęczy u stóp dostojnego spowiednika, który ubrany jak do wielkiej mszy, przyjmuje w swe objęcia pełnego skruchy młodego grzesznika, i słucha go spowiedzi.

Po udzielonej nauce, bierze spowiednik laskę z rąk obok stojącego braciszka klasztornego i dotyka się nią pleców grzesznika — na znak iż otrzymał rozgrzeszenie, poczem daje mu jeszcze błogosławieństwo na drogę.

Szczytny to zaprawdę i wzniosły obrządek, który już nie jednego zatwardziałego w duchu zaprowadził na drogę pokuty i żalu, a tym samym uwolnił go od wyrzutów sumienia i od kar doczesnych i wiecznych za popełnione grzechy.

A. K.

Uczeń i profesor.

— Co mi tam po nauce — mówił syn bogacza,
Kiedy świat czcią majętnych nie mądrych otacza.

— Mylisz się — rzekł profesor — bo cześć bogatemu
Głupcy tylko oddają, a mądrzy mądremu.

Uroczystość połączenia Litwy z Koroną w 1862 r.

Nieznające już oddawna wesela serce me, jakieś rozrzewnienie ogarnia, ile razy wspomnę na mą rodzinną Litwę. Z tym miłem dla ucha imieniem, ileż związano miłości, łez i boleści, jak wiele wspomnień najdroższych, poetycznych chwil, spędzonych w jej nieskończonych lesistych puszczach, na jej błoniach pokrytych złotemi kłosy, wśród jezior i pięknych rzek, nad któremi się unoszą ludowe legendy jeszcze z czasów pogańskich. Na Litwie każdy krok budzi jakieś wielkie i piękne wspomnienie w Litwinie. Tu pod tą wielką lipą, rosnącą obok drzwi domu, matka uczyła kiedyś pacierza i obowiązków względem ojczyzny; pod tym kościołkiem z wysoką wieżą na cmentarzu leżą kości ojca i braci, nad tym jeziorem staruszek dziad, pokryty siwym włosem, opowiadał, jak Litwini bili się z Moskalami, jak szwadron walecznego Narbuta rozpędził nieprzyjaciół i jak wpadłszy w zasadzkę dowódzca z siedmiu swymi synami zginął za ojczyznę. Tam znowu wieczysty dąb, rozrzuciwszy swe olbrzymie konary ze smutkiem na czole patrzy na to, co się tam dzieje, jak by chciał powiedzieć: „widziałem Kiejstuta i Gedymina, widziałem Olgierda i Witolda jak gnietli psie krzyżactwo, jak szczerbili swe ogromne miecze na karkach Tatarów i Niemców, jak święta Litwa była straszną wrogom i świetną, jak wajdeloci wznosili całopalne ofiary wdzięczności Bogom za szczęście, bogactwo kraju, za jego wielkość i potęgę.“ Tu znowu stoją kopce, zwane szwedzkiemi mogiłami, żeby poświadczyć co się stało z wrogiem, gdy nierozważny gonitwy swe zapuścił w samo serce Litwy — na Żmudź, ten kraj co umiał i umie kochać wiarę ojców, ich zwyczaje, ich cnoty i ojczystą ziemię swoją nadewszystko.

Piękna to kraina ta Litwa, lecz najpiękniejsze jej ozdoby Kowno i Wilno, dwie jej stolice.

Przy ujściu Wilii do Niemna schowane w dolinie wśród gór i pagórków leży Kowno. Z północnej strony piaszczyste góry, otaczające brzegi tych pięknych rzek i dzielące ich łoża, są tak strome, że niepodobna wdrapać się na nie, tylko berberyz pnąc się z kamienia na kamień, kwieciem swym czerwieni górzystą ścianę, zakrywającą mia-

sto od wiatrow z północy. Wielki płytwowy most na Niemnie łączy stolicę Żmudzi z drugim brzegiem, otoczonym górami i pokrytym wieczystemi dębami. Góry te tak są piękne, widok z nich na Kowno i na dalekie okolice tak czarujący, że uniesieni wyobraźnią pogańscy Litwini uwierzyli, że tu mieszkała bogini piękności — Aleksota, i nazwali to miejsce jej imieniem.

Same Kowno po tylu oblężeniach i po trzynastu pożarach, które do tła zniszczyły miasto, nie jest ładnem; Moskale zeszpecili go do reszty, rujnując kościoły i zmieniając klasztory na więzienia i magazyny wojskowe. Na placu przed katedrą stoi pomnik, na pamiątkę wypędzenia Francuzów z hannibalskim nadpisem: „przyszło 700 tysięcy, wyszło 70.“ Wsławiona piórem Mickiewicza kowieńska dolina zeszpecona, zupełnie barbarzyńską ręką północnych cywilizatorów, którzy wycięli dęby ją otaczające. Był tam kamień, na którym siedząc wielki poeta marzył i układał swe dźwięczne pieśni. Mikołaj kazał kamień ten rozbić i rzucić na szosę, żeby nie zostawić żadnej pamiątki po wieszczu litewskim. Prześliczny kościół i klasztor kamedułów, który wybudował Pac, żeby przebłagać niebo za grzechy swoje, Moskale zabrali, przerobili na prawosławny monaster, wyrzuciwszy z grobu nawet kości założyciela i jego dzieci. Te ciche na brzegu Niemna i urocze ustronia, gdzie tłumy zbierały się niegdyś, dziś lud omija, żeby nie spotkać pijanego i rozpasanego na wszelką rozpustę popa.

Mieszkańcy Kowna przed ostatniem powstaniem po większej części byli biedni urzędnicy i biuraliści, z rodzinami żyjący na nędznym skarbowym żołdzie. Właściciele większych posiadłości mieszkali w majątkach swoich, rzadko tylko przyjeżdżając na sejmiki lub w interesach z rządowemi instytucjami, żeby je jak najprędzej załatwić i wrócić do domu. Życia w mieście w roku 1860 prawie żadnego nie było. Nawet teatr, urządzony w ruinach świątyni Perkuna, nie wiele ściągał publiczności. Każdy przeżywszy pewny czas w tym mieście, powiedziałby zapewne, że mieszkańcy jego do niczego nie są zdolni, oprócz pisania i przepisywania papierów rządowych w kancelarjach, lub do pohulanki na wzgórzach Aleksoty. A jednak Kowno pierwsze na Litwie dało znak, że polskie serce w nim bije, jak tylko doleciały doń echa hymnów śpiewanych nad brzegami Wisły.

Jak się to stało, nie umiem powiedzieć. Ileż to razy, będąc wtedy w Kownie, brałem za pióro, chcąc zebrać wszelkie objawy rozbudzonego życia, żeby z nich potem wytworzyć nie historję czasu tego, lecz psychologiczne studja nad przejściem społeczności od obawy do próby, od próby do poświęcenia, od poświęcenia do patrjotycznej ofiary. Rzucałem jednak pióro, żeby nie zaszkodzić komu, gdyby te notatki popadły w ręce wrogów. Nie będę więc opisywał kiedy, jak i gdzie po raz pierwszy zaśpiewano „Boże coś Polskę,“ jak odbyto pierwsze pogrzebowe nabożeństwo za zamordowanych w Warszawie, jak ruch patrjotyczny przeniósł się do zaścianków, do wsi i lasów, obudzając w ludzie wspomnienia lepszych czasów, nadzieję błogiej przyszłości. Chcę wam opowiedzieć najświetniejszy dla Kowna dzień przed powstaniem: obchód rocznicy połączenia Litwy z Koroną.

Na kilka tygodni przed rocznicą lubelskiej Unji zaczęto mówić w mieście, że w ten dzień procesja z ołtarzykami pójdzie przez most do Aleksoty na spotkanie podobnejże procesji idącej z Polski. Gubernator czując, że na coś się zanosi, i nie widząc sposobu jak zapobiedz przykrej rządowi manifestacji, nie mając żadnych do tego instrukcji, bo odurzony rząd nie wiedział co począć w obec ludowego nieukontentowania, niechcąc nakoniec brać na siebie odpowiedzialności za to co się stać mogło, poprosił o dwutygodniowy urlop i pojechał do Petersburga z jakiemiś projektami, zostawiwszy wice-gubernatorowi instrukcję: „starać się zapobiedz wszystkim nieporządkom w mieście, jak można najłagodniej.“ Lecz w chwili tej o łagodności mowy być nie mogło, bo na ulicach Warszawy już się krew lała, już strzelano do bezbronnego ludu, już go tratowano kopytami kozackich koni.

Żandarmem w Kownie był w tym czasie znany z podłości, złodziejstwa i wszelkich infamji pułkownik Skwarcow, którego wyrzekli się bracia rodzeni, którym gardzili sami Moskale. Po odjeździe gubernatora, nie mając żadnej wykonawczej władzy, chciał się on odznaczyć czemkolwiek, żeby zasłużyć względy naczelników swoich. Udał się więc do wice-gubernatora, przedstawiając mu, na jaką odpowiedzialność narażał go gubernator, wyjeżdżając z Kowna w przededniu prawie manifestacji, która się gotowała. Przestraszony urzędnik położył się do łóżka i posłał do rządu gubernialnego uwiadomienie, że będąc chorym nie może być w kancelarji. Tym sposobem wice-gubernator pozostawiał sobie tarczę dla zasłonienia się w razie jakiegoś wypadku. Niezadowolony żandarm, pałając chęcią czynu, a nie mając żadnej władzy, udał się do naczelnika dywizji kawalerji rozkwaterowanej na Żmudzi, mieszkającego w Kownie, z przedstawieniem, że z powodu odjazdu gubernatora i choroby wice-gubernatora, władza spada na niego, jako najstarszego w mieście wojskowego. Jenerał Burhard, człowiek nadzwyczaj ograniczony, który tylko pięćdziesięcioletnią służbą doszedł do wyso-

kiego stanowiska, nie będąc w żadnej bitwie i nie umiejąc nawet pisać bez omyłki, uwierzył żandarmowi i lękając się odpowiedzialności, rozkazał dywizjonowi ułanów być gotowym na każde zawołanie w koszarach. Były też wysłane podobneż rozkazy do setki kozaków, do garnizonowego batalionu znajdującego się w mieście i do dziesięciu żandarmów, zostających pod rozkazami pułkownika Skwarcowa. Nakazano naczelnikowi policji ogłosić w mieście, że jeżeli procesja będzie miała miejsce, wojska będą strzelać do ludu.

Tego było dosyć żeby być pewnym, że procesja będzie urządzoną. Charakter litewski spokojny, cichy, lecz namiętny i stanowczy, każda groźba jest dla niego podnietą do wypełnienia raz powziętego zamiaru. Młodzi, starcy i kobiety, przekonani że i na nich przyszła chwila odpowiedzieć Warszawie jak bije litewskie serce, postanowili wszyscy należeć do procesji, a ponieważ śmiercią grożono, potrzeba było przygotować się do niej modlitwą i spowiedzią. O zaniechaniu procesji mowy nawet nie było. Trzy dni przed manifestacją wszystkie kościoły były przepełnione, modlono się, gotowano się do śmierci; jedna młodzież drżała z żądzy walki, ale nikt do niej hasła jeszcze nie dawał. Były to dnie uroczyste i solenne, w których ustały rozterki, ustały wzajemne waśnie i niechęci; wszyscy sobie dłoń podali, bo wszyscy gotowali się do ofiary, do śmierci.

W dzień naznaczony dla procesji tłumy ludu z za Wilii, Niewiaży i Dubissy przybyły do Kowna; z bogatszych obywateli było bardzo mało. Księża dominikanie zamknęli się w klasztorze, a przeor odmówił wszelkiego udziału w procesji. Fałszywie brzękła ta struna duchowna w obec nastrojenia bogobojnej i nabożnej litewskiej ludności. Znalazło się jednak kilku księży co przypomnieli sobie, że boski nauczyciel kochał ojczyznę swoją i płakał nad jej niedolą; nie śmieli więc odmówić zebranemu ludowi modlić się z nim, i płakać razem nad nieszczęśliwym krajem. Więcej piętnastu tysięcy zebrało się w farnym kościele. Kobiety były w białych sukniach, dziewczęta co nieść miały ołtarzyki włożyły wieńce z lilij na głowy; mężczyźni do niesienia chorągwi ubrani byli w świąteczne ubiory. Procesja miała iść mimo placu ratuszowego i mimo kościoła prawosławnego wprost ku mostowi.

Tym czasem jenerał Burhard ze Skwarcowym wyprowadzili wojska z koszar. Na drugim placu w mieście stali ułani, oczekując rozkazu do uderzenia na lud pikami. Na jedynej ulicy prowadzącej ku mostowi, postawiono ścianę kozaków w kolumnie plutonami, a z tyłu garnizonowy batalion, któremu kazano broń nabić ostremi ładunkami. Na placu w pełnem ubraniu stał pan jenerał w asystencji żandarma, policmajstra i adjutanta, z zamiarem nie puścić ludu ku Niemnowi. Most przez Niemen był już na kilka dni przed tem rozprowadzony. Wice-gubernator, przed oknami którego stał w wojennej gotowości dywizjon ułanów, udawał ciągle chorego.

Dzień był przecudny. Letnie słońce promieniami swemi zalewało całe miasto i dolinę. Żadnej chmurki na niebie nie było, tylko łagodny wietrzyk odświeżał powietrze. Cicho i poważnie wysunęła się procesja z kościoła. Na przedzie wysoki i silny Litwin, niósł krzyż wielki; za nim szły dziewczęta w bieli, niosąc ołtarzyki, następnie księża i lud zebrany. Nikt nie dowodził procesją, a jednak wszyscy szli w porządku z rezygnacją, bez brewerji — bo Żmudź szła na śmierć jej zapowiedzianą. W chwili gdy czoło kolumny ciągnącej się aż do Wilii doszło do kozactwa, dowódzca rozkazał ścisnąć szeregi, żeby nie przepuścić tej lawiny ludzkiej. Lecz niosący krzyż na przedzie wszedł wprost pomiędzy dwa konie, które przestraszone poskoczyły w stronę i przesunął się do następnego plutonu, za nim przeszły dziewczęta niosące ołtarzyki. W tej chwili jenerał widząc pierwszą linję przełamaną, krzyknął: „nahajkami ich walajtie.“ Pierwszy raz padł na głowę krzyż niosącego i z taką siłą, że ten powalił się na ziemię, lecz padając zawołał: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.“ Kozactwo zaczęło razami okładać biedne dziewczęta, które klęczały, lecz nie usuwały się nazad. Lud idący z tyłu, słysząc głos modlitwy, którą tak często powtarzał, ukląkł także i piętnaście tysięcy głosów wzniosło modlitwę do nieba: Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.

Kozactwo słysząc pieśń tę nabożną, którą i oni spiewają, zatrzymało się w wypełnieniu rozkazów; zdjęli giwery i żegnać się zaczęli nie złażąc z koni, bo i oni byli wzruszeni do głębi tym jękiem boleści, wyrywającym się z tysiącznych piersi.

Pułkownik Skwarcow, widząc że go kozactwo zawiodło, zbliżył się ku jenerałowi, który zupełnie ogłupiał i zdjąwszy kaszkiet żegnał się jak i inni, i zaczął mu grozić, że straci miejsce jeżeli ludu nie rozpędzi. Na te przypomnienie jenerał przyszedł do siebie i kazał adjutantowi pędzić natychmiast cwalem do dywizjonu ułanów i kazać mu uderzyć pikami na lud modlący się. Dywizjon ułańskiego pułku prawie wyłącznie składał się z Polaków; prawie wszyscy oficerowie byli także Polacy. Taka jest jednak siła karności, takie pojęcie o honorze i chorągwi w ludziach, co oderwani od

wszystkiego przestali być obywatelami kraju, że wszyscy machinalnie wypełnili rozkaz dowódcy, który zakomenderował: piki i szable do ataku w galop marsz!...

Gdy rozkaz ataku wieziono ułanom, wice-gubernator, Rusin, człowiek zacny i poczciwy, w którym długa służba nie zagłuszyła uczucia ludzkiego, słuchał raportu z tego co zaszło na placu. Widząc, że przyjdzie do krwi rozlewu, jeżeli nie wmięsza się do tego, usłuchał głosu sumienia, prędko narzucił mundur na siebie, siadł do dorożki, która stała w domu i wyprzedziwszy ułanów, którzy już szli do ataku, powstrzymał ich. Następnie pojawiwszy się niespodzianie na placu, rozkazał zebranym tam wojskom ustąpić przed ludem i nie przeszkadzać dalszej procesji.

Obrażony pan jenerał i rozwścieklony żandarmski pułkownik podskoczyli do niego przedkładając, iż obowiązek rozkazuje użyć siły dla poskromienia buntu. Lecz wice-gubernator słuchał swego rozumu i swego serca: „ja tu jestem w gubernii gospodarzem, odpowiedział im zimno, i ja odpowiadam za wszystko co się stanie; proszę pana jenerała rozkazać ułanom wrócić do koszar. Burhard i Skwarcow, zgrzytając ze złości zębami poszli do domu, jeden żeby poskarżyć się żonie, a drugi żeby napisać donos do Petersburga. Wicegubernator poszedł także do siebie, rachując na to że most rozprowadzony, a Niemna w brod przejść niepodobna, i będąc przekonany, że lud nie spotykając oporu, w skutek niemożności dostania się na drugą stronę rzeki, sam się rozejdzie spokojnie do domów.

Po odśpiewaniu modlitwy lud powstał i procesja ruszyła naprzód. Doszedłszy do Niemna i widząc most rozprowadzony lud stanął na wysokim brzegu rzeki, rozciągnąwszy się od świątyni Perkunasa aż do kościółka Karmelitów, nie wiedząc co dalej począć. Lecz w tej samej chwili z góry Aleksoty pokazała się procesja idąca z Augustowskiego na spotkanie Żmudzinów. Na czele, niosąc krzyż, szedł powszechnie poważany prawie stuletni starzec, poseł z czasów wielkiego księstwa Warszawskiego, a za nim tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci. Na widok ten Żmudzini uklękli nad brzegiem Niemna i z ust ich wyrwała się nie pieśń lecz jęk żałośny: „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał wieńcem potęgi i chwały“. Procesja idąca z Królestwa także uklękła nad Niemnem i modlitwa wspólna, łącząc się nad rzeką, wzniosła się do nieba, kobiety, dzieci i starcy płakali... Tym czasem młodzież wyciągnęła skądś czółna, umieściła na nich ołtarzyki i księży i zaczęła przewozić na drugi brzeg rzeki. Drudzy rzucili się do mostu i zaczęli go naprowadzać.

Chwila była tak poruszająca, że żołnierz, stojący na warcie około rozprowadzonego mostu, stary Żmudzin, stał nieruszając się z miejsca i łzy mu po twarzy płynęły. Zdziczały pod straszną moskiewską dyscypliną uczuł w sercu ogień, który zagasł w ciągu dwudziestopięcioletniej służby i patrząc na nieudolność młodzieży w naprowadzaniu mostu, zapomniał że ma obowiązek bronienia mostu: „nie w tę stronę kręcicie chłopcy, kręćcie w lewo“ zawołał. Po długiej pracy most był naprowadzony i cała procesja przeszła na drugi brzeg rzeki. Opisać zbliżenie się dwóch mas niepodobna. Uniesienie było tak wielkie, że całowano się, ściskano się, łzy były na oczu u wszystkich a rozczulenie w sercu.

Połączona kolumna ruszyła naprzód do kościółka o 4 wiorsty oddalonego za Aleksotą; tam uklękłszy tysiące serc zaniosło modlitwę do Najwyższego o lepszą dolę. Następnie Godlewski zaprosił do siebie cały tłum na zakąskę, poprzednio przygotowaną. Wytoczono z piwnic beczki miodu i piwa, wyniesiono pieczywa i mięso. Bogaty dawny poseł przed śmiercią, która go wkrótce zabrała, jeszcze raz i raz ostatni odetchnął nadzieją, odetchnął miłością i jak patryarcha pobłogosławił lud oddalający się do domów.

W Kownie oprócz rządowych osób nie pozostało prawie nikogo, miasto było ciche jak smętarz. Młodzież pospieszyła naprzód, żeby spotkać powracającą procesję dźwiękiem dzwonów. Była już szósta wieczorem. Z tymże spokojem lud wrócił nazad i udał się do domów, niosąc wspomnienia z dnia tego, które i dzieciom swoim przekaże. Biedne dziewczęta zbite, zbolałe z dumą pokazywały ślady razów, które otrzymały z rąk kozackich.

W rok potem na Litwie panem życia i śmierci był Murawiew. Na pagórku nad miastem u słupa stał ze związanemi w tył rękami pierwszy męczennik Litwy młody Korewa a przed nim pluton żołnierzy z nabitemi karabinami. Na dole zaś, w biednym domku, z którego widać było nawet twarz nieszczęśliwego, klęczała matka patrząc na syna i błagając Boga o zlitowanie. W tem padły strzały. Podjęła się matka z ziemi, popatrzyła w górę... syn jej już nie żył, a żołdactwo udeptywało świeżo zarzuconą mogiłę. Na twarzy jej bladej łez nie było; wzniosłszy rękę do nieba wyrzekła tylko: „Panie! tyś mi zabrał ukochane me dziecię; jeszcze jeden syn mi został — niech idzie mścić się za śmierć brata!...“ Takie są matki Żmudzinki.

Dr. J. Stella Sawicki.

Przechadzki po polu i ogrodzie.

(Ciąg dalszy).

Z drzew mających owoc łupinowy chodujemy w kraju naszym tylko dwa gatunki, tak zwany orzech włoski i orzech laskowy. *Orzech włoski* udaje się wprawdzie w każdym gruncie, jednakże wapienisty, nieco wilgotny najlepiej mu służy. Rozmnaża się przez sadzenie całego owocu z łupiną w dołeczki najmniej na 6 cali od siebie odległe. We dwa lata po zasianiu przesadza się wyrostki do szkółki, a gdy w znaczniejsze pieńki podrosną, przesadza się w miejsca ku północy więcej zwrócone, gdyż tak tylko są na mrozy wytrzymalsze. Gałęzi wyrastających obcinać nie należy, owszem trzeba im dozwolić rozrastać się i chyba te tylko gałęzie obcinać, które zbyt przy ziemi się puszczają. Jeżeli po zbyt silnej zimie niektóre gałęzie zmarzną, takowe trzeba obciąć, a za lat kilka w tych miejscach nowe wyrosną pędy. Zmarznięte orzechy często się takiemi tylko pozornie wydają, nie trzeba ich więc zaraz niszczyć, często się bowiem zdarza, że taki orzech dopiero w drugim lub trzecim roku odżyje.

Orzechy laskowe czyli leszczyna rozmnaża się przez rozsadzanie pędów od korzenia rosnących. Lepsze gatunki otrzymuje się przez oczkowanie lub szczepienie gałązek. Gałęzi w koronie nie trzeba im wycinać, natomiast korzeniowe pędy starannie niszczyć należy. Kilka zagranicznych gatunków orzechów ogrodnicy już rozpowszechnili u nas, mianowicie tak zwane hiszpańskie i tureckie, odznaczające się owocem dużym i powłoką czerwonawobrunatną. Leszczyna jest wytrzymalsza na mrozy niż orzech włoski.

Przy każdem drzewie owocowem opowiedziałem wam ile to potrzeba starań i pracy nim zasadzone drzewko wyrośnie i owoce rodzić zacznie. Nie dosyć atoli tej pracy około wzrostu drzewa owocowego, potrzeba jeszcze wiele zabiegów, by sady nasze ochronić od mnóstwa szkodników, jacy gromadnie, powiedziećby można, czychają na zniszczenie onych.

Nikt zapewne nie ma tyle nieprzyjaciół co drzewo owocowe: liczne gatunki robaków, ptaki i zwierzęta ssące, oto szkodniki w sadach naszych. Wprawdzie znajdują się między zwierzętami i przyjaciele sadów, tępiciele szkodników, jednakże, gdyby przemysł i praca człowieka nie posiłkowała tym obrońcom sadów, nie mielibyśmy z nich żadnego użytku, tak liczną i szkodliwą jest rzesza nieprzyjaciół.

Aby was z tą wojną, uporczywie w sadach naszych ze szkodnikami prowadzić się mającą chociaż trochę zaznajomić, wymienię wam i opiszę najpierw najzaciętszych nieprzyjaciół, a potem zaznajomię was ze środkami, jakie człowiek przeciw nim wymyślił, i jakich ma ze strony zwierząt w tej pracy pomocników.

Szkodniki w ogrodach.

a) Zwierzęta ssące.

Ze zwierząt ssących najwięcej szkody wyrządzają drzewkom owocowym z a j ą c e, k r ó l i k i i s a r n y. Kora młodych drzewek jest dla nich ulubioną strawą, zakradają się przeto do ogrodów i obgryzając pnie z kory, zrządzają nieobliczone szkody. Takie miejsca obgryzione trzeba maścią drzewną zasmarować i szmatką obwiązać, inaczej drzewko uszkodzone uschnie niezawodnie.

Dla ochrony od tych szkodników trzeba drzewko zwłaszcza w polu otoczyć koszem z wikla, lub też pomazać pnie mięszaniną z wapna i gnojówki, z dodaniem sadzy. Takie pomazanie powinno być dane na dwa łokcie od ziemi, a gdyby była obawa zasp śniegowych, trzeba całe drzewko pomazać, bo i obgryzienie gałązek korony szkodzi drzewku. W szkółkach wiele szkody zrządzają myszy polne, otóż i te wytępiać należy.

b) Ptaki.

Wszystkie wielkie a więc ciężkie ptaki szkodzą młodym szczepom przez to, iż siadając na gałązkach łamią takowe. Najlepszą przeciw temu ochroną jest stawianie straszydeł lub grzechotek pomiędzy szczepami. Takie straszydła skuteczne są również przeciw wróblom, które, aczkolwiek z wielu innych względów pożyteczne, wielkiemi są szkodnikami w ogrodach, wyjadając zasiane w szkółce ziarnka, w sadach psując zawzięcie dojrzałe wiśnie i czerechy. Oprócz wróbla wiele innych jeszcze ptaków, jak krzywodzióbki a szczególnie sroki objadają wiśnie, często trzeba dla ochrony owocu przed niemi całe drzewo siatką nicianą osłonić.

Z ptaków najszkodliwszym jednakże dla sadów naszych jest *Puchacz* właściwy, zwany także *Wyk*. Należy on do rodziny sów, które w gospodarstwie są bardzo użyteczne, on jedyny pomiędzy niemi stanowi wyjątek. Dlatego też wszystkie rodzaje sów dla ich użyteczności szanować, a Puchacza właściwego czyli Wyka tępić należy. Abyście zaś mogli odróżnić tego szkodnika od innych sów, podaję go wam w obrazku.

Ma on głowę wielką, szeroką, oczy duże, a po nad niemi czuby z kilku piór ku końcowi zwężonych, a na dwa cale sterczące nad innemi, nieco ku uszom pochylone, lecz według jego woli pod-

noszące się pionowo. Uszy daleko mniejsze niż u puchacza tak zwanego uszatego. Nogi po pazury gęstemi piórami okryte, pazury silne, zakrzywione i bardzo ostre; skrzydła szerokie lecz krótsze niż u innych puchaczy. Ogon jego na pół łokcia długi; dziób, szpony i obwody powiek czarne; wierzch ciała rudawo-płowy, czarniawo-pstremi plamkami pokryty; spód zaś płowy, lecz na każdem piórze szyji i piersi duża czarniawa plama;



~~Puchacz Wyk.~~ Puszczyk.

podbródek i duża na szyi plama z białych, puchowatych piór; barkówki czyli pióra skrzydeł rudawo i białawo pstre.

Pisklęta z jaj wylęgłe mają zupełnie biały puch, po bokach głowy tylko mają lekkie żółtawe odznaki.

Puchacz Wyk jest nietylko odważny, ale i podstępny, napastuje on daleko większe od siebie ptaki i większe zwierzęta napada we śnie. Żyje samotnie po ciemnych lasach, zwłaszcza sosnowych i jodłowych, przebywa też i w ogrodach, byle w bliskości lasów, w dzień widzi doskonale, lecz swiatła nie lubi i oczy zawsze przymruża.

Ze wszystkich ptaków drapieżnych jest on największym szkodnikiem, niszczy zające, młode sarny, zjada wszystkie ptaki żyjące owadami, a szczególniej czycha na jeża, tego niezmordowanego tępiciela wszelkich owadów. Ktoby się chciał przekonać jak wielkim szkodnikiem jest Puchacz Wyk, niech w kwietniu zaglądnie do jego gniazda, kiedy wykarmia młode, a znajdzie tam zapewne wszystkie mniejsze zwierzęta leśne i domowe, tudzież wszystkie gatunki ptaków i to w takiej obfitości, iż zdaje się, jakoby ten krwiożerca na kilka lat robił zapasy.

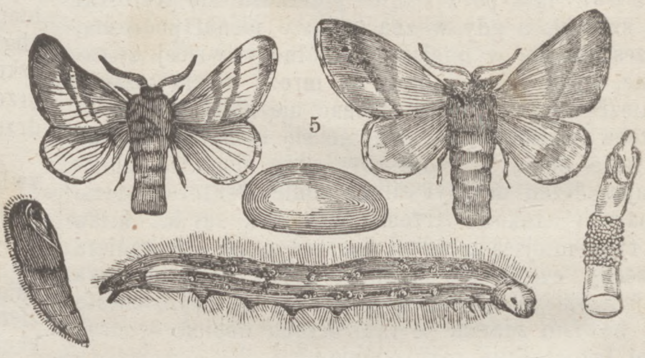
Szkodnika tego więc bez litości tępić należy, jak znowu ochraniać wszystkie inne rodzaje sów i puchaczy, jako bardzo usłużne stworzenia w tępieniu owadów i robactwa.

c) Owady.

Szkodliwszemi jednakże od zwyż wymienionych dla sadów naszych są gąsienice motylów, gnieżdżących się po drzewach owocowych i żywiących się liściami i korą tychże.

I. Największymi szkodnikami są gąsienice motylów z rodzaju prządek, a z tych największym szkodnikiem jest niezaprzeczenie *Barczatka Pierściennica*, po niemiecku zwana *der Ringelspinner.*

Barczatka Pierscienniica.



1) motyl samiec, 2) motyl samica, 3) nalep jajek, 4) gąsienica, 5) oprzęd, 6) poczwarka.

Motyl ten a raczej ćma pojawia się dopiero w lipcu, i w kilka zaraz dni samica poczyna nieść jajka. Aby je umieścić, wyłazi na jakiekolwiek drzewo owocowe, lub róże, lub inne drzewo liściowe, i tamże wyszukuje najcieńszą gałązkę, w około której się obwija, poczem znosi na niej kilkaset drobniutkich jajek, ciemnym płynem powleczonych, który jajka do gałązki przylepia, poczem od słońca tak twardnieje, iż ten nalep z trudnością od gałązki odczepić można. Z jajek tych na przyszłą wiosnę wylęgają się gąsieniczki, i żywią się pączkami liści i kwiatu, niszcząc takowe w samym zarodku.

Bywają lata, że same te gąsieniczki wyniszczają wszystkie drzewa w sadach; jedzą one przez cały dzień i całą noc, a objadłszy jedno drzewo do szczętu, gromadnie przenoszą się na drugie. Podczas słoty lub zbytnich upałów gromadzą się w oprzęd, podobny do pajęczyny pod grubszemi gałęziami, i tam rosną i lenią się gromadnie. Po trzeciem wylenieniu są najżarłoczniejsze. W tedy gromadnie wyłażą, a niemając już na drzewach liści, rzucają się na inne jakiekolwiek rośliny.

W czerwcu zaczynają te gąsienice włazić do szpar w drzewach, lub obwijają się liściem, i tak

zasklepiają się w poczwarkę. Po czterech tygodniach takiego zasklepienia wylęga się w lipcu z tej poczwarki motyl, — poczem samica niebawem jajka znosić zaczyna.

Przemysł człowieka rozmaite powymyślał sposoby do zniszczenia tego wielkiego szkodnika. I tak jedni radzą otrząsać z drzewa samice gnuśne właśnie wtedy, kiedy jajka znosić mają, jednakże sposób ten nie wiele pomaga, bo nie wszystkie otrząść można; drudzy radzą oskrobywać nalepione jajka, lecz to można tylko na niskich drzewach przedsiębrać; inni wreszcie, i ten sposób jest najskuteczniejszy, polecają wyszukiwać gromadnie w szczelinach lub pod grubszemi gałęziami siedzące gąsieniczki, takowe wybierać i natychmiast rozgniatać. Czynić to trzeba oględnie, aby na ziemię nie pospadały, gdyż wtedy rozłażą się tak szybko, iż je trudno wyzbierać.

Pomimo tych sposobów nie wiele jednakże możnaby tych szkodników wytępić i ogrody nasze nie byłyby przed nimi ochronione, gdyby nie ich nieprzyjaciele z rodziny ptaków. Głównymi tępicielami tych gąsienic są kawki, sroki, kukułki, zięby i wróble, które nimi żywią nietylko siebie, ale także i swoje pisklęta. Tym więc ptakom starowny ogrodnik, sposobami zwyż wymienionemi, dopomagać tylko powinien.

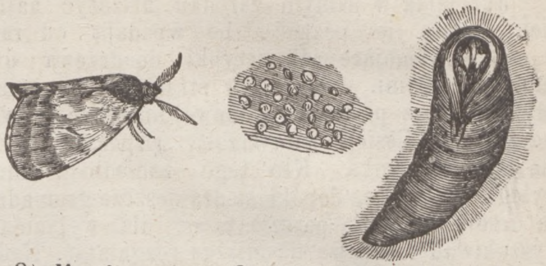
II. Równie niebezpiecznym szkodnikiem jest tak zwana *Klęskówka Nieparka*, po niemiecku *Grosskopf* zwana.

Motyl samiec jest mały, samica kilka razy jest od niego większa. Gąsienicę poznać łatwo można po trzech jasnożółtych pręgach podłużnych i po włosiastych brodawkach, których z przodu ma pięć par niebieskich, a z tyłu sześć par czerwonych. Poczwarka zaś jest czarniawa, ma wielkie wypukłe oczy i po całej powłoce kupkami włoski żółtawe.

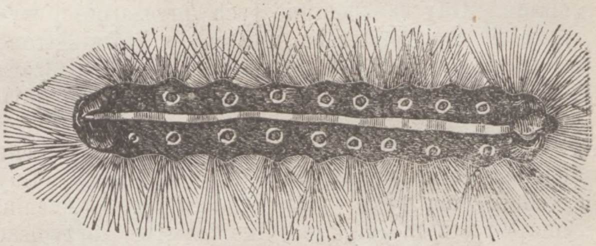
Klęskówka Nieparka.



1) Motyl samica.



2) Motyl samiec, 3) poczwarka, 4) jajka.



5) Gąsienica.

Ten motyl wylęga się z poczwarki w sierpniu a niekiedy dopiero we wrześniu. We dwa lub trzy dni po pojawieniu się samica znosi jajka, samiec jest bardzo ruchliwy, lata ciągle z miejsca na miejsce; samica zaś nie rusza się z tego miejsca, w którym się wylęgła i najdalej w 14 dni po zniesieniu jajek zdycha. Jajka składają się w oprzęd usnuty z puchu włosków, który z siebie wyskubują. Ten skład jajek, podobny do grzyba, wygląda jak kupka, w której często 300 do 500 takich jajek znaleźć można. W kwietniu na przyszłą wiosnę wylęgają się z tych jajek gąsienice. Przy końcu czerwca lub na początku lipca gąsienice oprzędzają się po parkanach, płotach, ścianach lub w szczelinach drzew w poczwarki, z których po trzech tygodniach wykłuwa się motyl, którego samica — jak to już powiedziałem — zaraz znosi jajka.

Gąsienica tego motyla jest bardzo żarłoczną, a chociaż tylko nocą żeruje, objada często wszystkie liście z drzewa nawet z szypułkami, a często i owoce obgryza. Przy lenieniu jest najżarłoczniejszą. Najbardziej lubi ona liście śliwek i grusz, w braku których atoli nie gardzi innemi drzewami.

Niebezpieczny ten szkodnik nie wiele ma nieprzyjaciół, ptaki nie lubią go, jedynie tylko niektóre gatunki chrząszczyków, osy, szerszenie i pająki żywią się nim, dlatego też więcej starania ogrodnik dołożyć winien do jego wytępienia. I takowe jest łatwiejsze niżeli innych motylów i gąsienic.

Już jajka w samym zarodku niszczyć najlepiej. Łatwo je poznać, bo wpadają od razu w oko przylęgające jak grzybki do drzewa owe kupki z jajkami. Wystarczy strącić je na ziemię, gdyż odarte z powłoki włoskowej, niechybnie wymarzną. W jesieni wiec trzeba rozpocząć tępienie tego szkodnika. Kto tego zaniedbał, musi wylęgłe gąsienice, dopóki siedzą jeszcze gromadnie na drzewach i nie porozłażą się dla wylenienia, wyszukiwać i takowe na miazgę rozgniatać. Nadto pilnie trzeba patrzeć po parkanach i ścianach, gdzie się oprzędzają w poczwarkę, i takowe rozgniatać. Gdy zaś pomimo tych przezorności wylęgną się motyle, trzeba uważać w którą stronę latają samce, tam pewnie się napotka na siedzącą pod gałęzią samicę, i wtedy nim zniesie jaja, trzeba ją zabić.

Tak więc, chociaż inne stworzenia nie wiele dopomagają do wyniszczenia tego szkodnika, pilny ogrodnik ma wiele ułatwienia w jego tępieniu. Śmiało rzecz można, że tylko lenistwu przypisać należy, jeżeli Klęskówka Nieparka wielkie wyrządzi szkody w ogrodach. (C. d. n.)

Odezwa.

Rok 1872. jest dla mieszkańców Polski rokiem większego znaczenia, niżeli którykolwiek inny z ubiegłego stulecia, w tym albowiem roku kończy się właśnie wiek cały czyli lat 100 od chwili, w której pierwszy podział naszej Ojczyzny dokonany został. Sto lat — to bardzo długi przeciąg czasu — i nader rzadko się zdarza, by człowiek żył lat sto. To też nie ma już zapewne pomiędzy nami człowieka, któryby własnemi oczyma patrzył na Polskę w dawnych jej granicach: od Karpat do morza Bałtyckiego, od Elby po Dźwinę i Dniepr. Lecz za to nie powinno być na polskiej ziemi ani jednego człowieka, któryby o tej dawnej potędze i losach swej Ojczyzny nie wiedział, i w sercu swem najgorętszej dla niej nie chował miłości. A przecież niestety! iluż jest takich, co żyją dotąd w zupełnej może nieświadomości o tych nieszczęsnych wypadkach, jakie dotknęły ich ziemię rodzinną? Gdzie zabrakło już żywych świadków i opowiadaczy o ubiegłych czasach, a gdzie tychże nie zastąpiła wiedza z książek czerpana, tam tysiące jeszcze napotkasz takich, co w zupełnej żyją ciemnocie.

Otóż, aby ile możności zmniejszyć liczbę takich nieświadomych, aby

„Uczyła się dziatwa czytania,
„I czego katechizm zabrania,
„I kiedy duszeczka szczęśliwa,
„I jak się ta ziemia nazywa,
„I jacy tu byli królowie,
„— A wszystko by rozum mieć w głowie,
„Abyśmy o wszystkiem wiedzieli,
„By w sercu mieszkali anieli“

— potrzeba koniecznie więcej szkół, więcej zdolnych nauczycieli. **We wsi, w której szkółki nie ma — nie ma moralności, nie ma też i dobrobytu** — powiedział pewien uczony. I słusznie powiedział, bo z nauki wszelka korzyść płynie i dla duszy i dla ciała.

W kraju naszym niestety jest jeszcze bardzo mało szkółek po wsiach, a gdzie się już znajdują, to także nie wszystkie odpowiadają swojemu celowi, bo najczęściej nie ma czem opłacić nauczyciela. Obliczono, iż znajduje się 3.500 wsi, nie mających szkoły, i że na 100 dzieci tylko 20 uczęszcza do szkoły, że więc przeszło 600.000 rośnie bez najmniejszego wykształcenia, bez nauki czytania i pisania. W roku 1872 — jako w stuletnią rocznicę pierwszego podziału Polski — postanowiono zbierać w całym kraju i od wszystkich jego mieszkańców dobrowolne składki na utworzenie funduszu, z któregoby można zakładać nowe szkółki po wsiach a istniejące ulepszać.

Postanowienie to zaiste jest najpiękniejszym z czynów, jakie kiedykolwiek najszlachetniejsi ludzie dla dobra swej Ojczyzny zdziałali. Nie można było złożyć piękniejszego dowodu miłości do kraju i sprawy jego, nad ten, iż w stuletnią żałobną rocznicę jego pierwszego rozbioru zawezwano ludzi dobrego serca do niesienia ofiary dla szerzenia wiedzy i nauki między tysiące nieoświeconych jeszcze obywateli kraju naszego. I myśl ta trafiła do serc szlachetnych, bo szczodre płyną ofiary, nikt się nie wyłącza — ubogi i bogaty spieszy ze swym datkiem do ogólnej skarbony, z której, da Bóg doczekać, wielkie dla kraju wypłyną korzyści.

Nie powinienem i nie mogę i Was, dziatwo polska, wyłączać od tego wspólnego dzieła, dla tego odzywam się dzisiaj i do Was i wzywam do ofiary według możności. Wiem o tem dobrze, iż żaden z was nie posiada własnego funduszu, którym by mógł według swej woli rozporządzać, jednakże nie jeden z was otrzymuje od rodziców już to na zabawki, już to na łakocie i ciasteczka, a wreszcie każdemu z was sprawiają często kosztowne sukienki. Otóż proście waszych kochanych rodziców, by jakąś część pieniędzy na takie wydatki przeznaczonych oddali wam, w celu rzucenia do ***„Skarbonki z roku 1872.“*** *Wiem o tem dobrze, iż nie odmówią wam, owszem z uśmiechem radości na ustach wysłuchają tej prośby waszej i pobłogosławią czynowi waszemu.*

Pamiętajcie, iż kto ziarnko nauki pochwyci:

„Niech zaraz tem ziarnkiem wzbogaci
„Wioskowe siostrzyczki i braci;
„Więc dziatwo, choć iskrę oświaty
„Zanieście do ciemnej ich chaty.
„A gdy im rozjaśnią się oczy,
„Nauka was z kmiotkim zjednoczy.
„A wtedy w niebieskim zachwycie
„Na waszą książeczkę spojrzycie,
„A widząc raj ziemski otwarty,
„Będziecie całować jej karty,
„Bo Anioł wam w sercu zagości
„Za wasze zasługi w ludzkość.
„A kiedy ziemia rodzona
„Was wszystkich powoła do grona,
„Czyż dusza nie będzie ci rada
„Gdy obok zobaczysz sąsiada?
„Gdy blaskiem talentu zaświeci,
„Wyuczon przez ciebie syn kmieci!“

Na tem kończę odezwę moją i donoszę, iż wszelkie datki od was możecie nadsyłać albo pod adresem: Wny Alfred Młocki, ulica Czarneckiego we Lwowie, lub: Wny Franciszek Zima, dyrektor kasy oszczędności we Lwowie, lub do Redakcji „Opiekuna dzieci“ Nr. 39½ we Lwowie, a wykaz tych datków za każdą razą w „Opiekunie“ podawać będziemy w rubryce „Składki na fundusz szkół ludowych od dziatwy polskiej.“

A. K.

Z drukarni Kornela Pillera. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Aleksander Kisielewski.